

Manifestacja, o której mówił towarzysz Buczek, byłaby bardzo dobra, ale ile czasu upłynie, zanim zdołamy sprowadzić bomby, granaty, rewolwery, a tymczasem minie chwila odpowiednia, zniechęca się robotnicy i zaczynają działać na własną rękę, a na to nie możemy pozwolić, bo to będzie zguba partii. Bywają chwile we walcu, że lekkie potrącenie wystarczy na obalenie przeciwnika i manifestacja może być takim właśnie potrąceniem.

— Prawda! — mruknęto.

— Manifestujmy! — rzekł Sikora.

— Zdaje mi się — odezwał się Kozak, kręcąc wąs szpakowaty — że towarzysz Buczek nie skończył swej myśli — spojrzał z zapytaniem.

— Istotnie, towarzysze, mam jeszcze do powiedzenia kilka słów. Jestem przeciwnikiem manifestacji, ale gdy uchwalicie, że potrzebna — pójdę z wami w szeregu.

— Więc waszem zdaniem — zaśmiał się Paweł szydyczko — mamy czekać, póki rząd nie ochłonie po klęskach wojennych, póki armia nie wróci do Europy?

— Nie, towarzyszu Pawle — odrzekł Żalecki — ja jestem za manifestacją, ale inną. Bez śpiewów, sztandarów, bez pompy ulicznej. Nie pięć tysięcy, ale niech sto tysięcy robotników powstanie w jednym dniu na nasze hasło! Całe życie współczesne opiera się na pracy robotników; nagle w jednej chwili ta arteria, która wprowadza życie w organizm społeczny, przestaje funkcjonować i cały organizm słabnie, chwieje się, pada jak podcięty kosa. W takiej chwili zrozumie całe społeczeństwo, rząd, wszyscy, że my robotnicy, jesteśmy życiodajną siłą, że bez nas padnie wszystko w gruzu. Zabraknie chleba, wody, światła, sklepów, doróżek, tramwajów, ustanie ruch, zawieszono życie... to będzie objawem naszej siły, potęgi, znaczenia. Więc nie marnujmy sił na manifestacje, nie rozpraszajmy zapалу, nie traćmy energii, ale organizujmy wytrwale, gromadźmy bojowników, aby świt wolności zastał nas gotowymi do przyjęcia słońca.

W czasie przemówienia tego rozjaśniły się twarze wszystkich, błyszczały oczy, widać było zapal, niektórzy uśmiechali się radośnie, a gdy skończył, zawołał Kozak:

— Wasz plan jest wspaniały, przyjmujemy go, towarzysze?

— Tak jest!... Naturalnie!

— Jednym zamachem, jednym wstrząśnięciem przerwać to zgniłe życie burżuazyjne, to walka godna nas, robotników wyzyskiwanych i pogardzanych! — wołał rozpromieniony Komar — zatem do pracy! Do organizacji!

Po sprawdzeniu kasy, odczytaniu wiadomości z prowincji, po szczegółowych wskazówkach, kto i jak ma uwiadomić dziesiątki o manifestacji, już mieli się rozchodzić, gdy rzekł Kozak:

— Towarzyszu Buczku, czy tu czujecie się bezpiecznym?

— Takie mam wrażenie — uśmiechnął się Żalecki.

— To dobrze. Przysięgam wam ważne papiery, ukryjcie tu, bo są mi potrzebne często, np. w tej szafie — wskazał — na drugiej półce. Obawiam się rewizji w tych dniach.

— I ja wam przysięgam wykaz składek i stan kasy — zawołał Skala — bo w biurze mojej była wczoraj rewizja u kolegi, może znajdą jaki mój szpargał i wezmą się do mnie.

— Dobrze, towarzysze... przysyłajcie.

— A nie zapominajcie, Buczku, — ostrzegał Kozak — że moje papiery, to życia setek ludzi... i w razie rewizji muszą być zniszczone.

— Dopilnujcie... Gdyby mnie złapano, jestem dla nich zawsze Janem Pastą z Celnej.

— Wiemy — mruknęli z uśmiechem.

W kilka dni później wszedł Żalecki chmurny do drukarni, w której pracowali Olga i Walczak.

— Cóż wam się stało? — spojrzała na niego Olga zaniepokojona.

— Wczorajszej nocy aresztowano Sikorę.

— Nie wiecie za co?... Znaleźli co?

— Wpadli w nocy, przetrzęśli mieszkanie, papiery zabrano bez czytania i jego powlekli do więzienia.

— Byle nie miał u siebie którego skryptu z naszej drukarni — odezwała się Olga — bo byłby zgubiony.

— Wątpię bardzo... To ostrożny ptak. Przypuszczam, że ktoś zdradził, iż agituje za fachową organizacją, a że teraz wystarczy byle pozór, wzięto go.

— A nie wiesz gdzie siedzi?

— Na razie na Pawiaku... i przy protekcji możnaby go uwolnić, a on bardzo nam potrzebny.

Mamy huk roboty i bez niego nie wydamy na czas.

Zajęli się robotą, a wśród milczenia spytała Olga:

— Czy sądzicie, Bolku, że rotmistrz mógłby go uwolnić?

— Gdyby tylko zechciał, dziś byłby wolny.

— Spróbuj... może się uda.

— Hm... obmyślicie sposób?

— Będzie krewnym naszej służącej, ona jest mi wierna... i poproszę Bolcewa.

— Kiedy?

— Wiem, że dziś będzie u ciotki, gdybym mogła wyjść wcześniej, zastałabym go jeszcze.

— I na to jest sposób — uśmiechnął się Bolek — idźcie, im wcześniej, tem lepiej.

Podszedł do okienka i jedną szybkę z krat stłukł z hałasem.

— Tylko ostrożnie Olgo, bez zbytecznego nacisku — upominał — a nie zróbcie przypadkiem aluzji, co do tej dziewczyny Olesi, chociażby lekkim żartem, bo domysli się, że ja wam powiedziałem.

Olga poczerwieniała i zaczęła się gorączkowo ubierać.



...Pierwszym gościem był Komar, jak zwykle wyświeżony i uśmiechnięty...

— Czy już powiedzieliście? — zaśmiał się Walczak.

— Nie jemu... lecz ciotce, i tak się boję.

— Ciotki waszej nie znam... nie będzie mnie podejrzawał, ale innych.

Posłyszeli otwieranie kłódki, Bolek odsunął sztabę wewnętrzną i Olga wyszła.

Bolcew był już w salonie, więc Olga najpierw zawołała Sabinki do swego pokoju:

— Moja Sabinko, pomóż mi uratować jednego człowieka. Zamknęli go żandarmi i chcę poprosić rotmistrza, aby go puścił. Otóż ty zwróciłaś się z prośbą do mnie, bo ten aresztowany jest twoim krewnym, np. szwagrem, albo wujem, albo ojcem chrzestnym.

— Dobrze panienko... tylko niech nie będzie z mojej rodziny, bo gdyby się co wykryło na nim, zaczęliby nas nękać i rewidować... Niech już będzie ojcem chrzestnym, i jeśli ma dzieci, to ojcem mojej przyjaciółki... a jak się nazywa?

Podeszła do biurka i wyszukawszy:

— Filip Kikolski... ma córkę w twoim wieku, znam ją, nazywa się Stasia.

— No i dobrze się składa. On, ten Filip Kikolski jest ojcem przyjaciółki Stasi i moim chrzestnym.

Olga wchodząc do salonu, posłyszawszy, jak rotmistrz położywszy rękę na piersi, upewniał:

— Może pani wierzyć memu słowu oficera, że jest to plotka niegodna.

Olga lekko poblądła i przywitawszy się, usiadła, mówiąc z uśmiechem:

— Śpieszylam do domu, chcąc zastać u nas pana rotmistrza.

— Prawdziwy to dla mnie zaszczyt — skłonił się uradowany — i właśnie przyszła pani w chwili pożądanej dla mnie. Ciocia powiedziała mi, że słyszała pani, jakoby się bałamucił z niegodną kobietą... to kłamstwo, to kalumnia, tylko człowiek zazdrosny i podły mógł mnie tak poniżyć w oczach pani — kończył ze szczerem oburzeniem i gniewem.

Olga poczuła zimno i już w myśli widziała, jak zawzięcie mści się on na Bolku. Z wysiłkiem uśmiechnęła się i rzekła:

— I ja uważam to za plotkę... Nic dziwnego zresztą, bo słyszałam o tem z ust służby... a ta zawsze bawi się plotkami.

— Służby? — zdziwiła się ciotka.

— Widocznie ciocia zapomniała — uśmiechnęła się — opowiadałam przecież, że w przedpokoju u pułkownika Małygina słyszałam rozmawiających żołnierzy, deńszczyków.

— Prawda Oldziu... tak, teraz przypominam sobie dokładnie.

Rotmistrz spojrzał szybko z pod oka na jedną, na drugą, i pomyślał: chce mnie w błąd wprowadzić... to nie służba Małygina... Ale, rozpoznałszy twarz, mówił:

— Cieszy mnie nadzwyczajnie, że sama pani uznaje bezzasadność plotki. My mamy dużo niechętnych, i ci, gdzie mogą, to nam usiłują szkodzić.

— Nie może się pan skarżyć — uśmiechnęła się pani — my nie uwierzyłyśmy plotkom, i odpłacaj pan nam, kobietom, tą samą miarą zaufania.

— Nie mam sposobności, bo nigdy nie słucham ludzkiej obmowy i nigdy nie podejrzewam... zwłaszcza panie.

— Gdzie ty Oldziu byłeś?

— W interesie Sabinki, ciociu... Chodziłam przekonać się, czy istotnie mówi prawdę...

— Cóż to za historia? — zdziwiła się — i co może cię obchodzić Sabinka... nasza młodsza — wyjaśniła gościa.

— Zauważyłam ciociu, że Sabinka smutna i popłakuje po kątach. Dowiedziałam się, że jej ojca chrzestnego i zarazem ojca jej przyjaciółki aresztowano. Poszłam sprawdzić na miejsce. Istotnie żona i czworo dzie-

ci zostały bez chleba... to bardzo smutne — westchnęła.

— I za co go aresztowano? — dopytywała się pani — ukradł? rozbijał?

— O ile mi mówiono, to pańscy żandarmi — zwróciła się do Bolcewa — aresztowali go, niewiadomo za co?

— Żandarmi? — zawołał zdziwiony — hm... to pewnie sprawa polityczna... dowiem się... czy pani zależy na nim?

— Na nim nic mi nie zależy... ale Sabinka zaczęła mnie usilnie błagać i prosić, ażebym się zwróciła do pana.

— O, sprytna! Wybrała sobie dobrą protekcję — zaśmiała się pani.

— A nazwisko aresztowanego?

— Filip Kikolski, zecer.

Bolcew rozważał jak ma postąpić? Czy zająć się tą sprawą, czy zbyć ogólnikiem?

Spojrzał na Olę i zauważył, że z niepokojem patrzy na niego... A może tą drogą zyska jej względy? Wstał i rzekł:

— Pozwolą panie, że na chwilę pójdę do telefonu... dobrze?

(Ciąg dalszy nastąpi).